№ 26—27 WARSZAWA, 8 LIPCA 1923 R. ROK X.

SIEW

DAWNIEJ: „NASZA DRUŻYNA"

ORGAN ZWIĄZKU MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

TYGODNIK OŚWIATOWY, SPOŁECZNY I ROLNICZY—ILUSTROWANY.

Adres: Warszawa, ul. Tamka № 1. Konto czekowe P. K. O. № 3510.

Przedpłata z „Teatrem Ludowym" za III kwartał 20.000 mk. Numer pojedyńczy 2000 mk.

Od Administracji.

Na III kwartał naznaczyliśmy prenumeratę w wysokości 20 tysięcy marek i zastrzegamy znowu, że kwota ta obowiązuje tylko do 15 sierpnia. Kto nie wpłaci należności w tym terminie, musi być przygotowany na zapłacenie wyższej sumy, którą ogłosimy z początkiem sierpnia. Wzrost drożyzny w ostatnich tygodniach jest tak duży, że jeszcze w tym kwartale będziemy zmuszeni podnieść, i to znacznie, wyznaczoną obecnie prenumeratę. Dlatego czytelnicy winni we własnym interesie wysłać należność za „Siew" natychmiast za czekami, które do niniejszego numeru dołączamy.

Niniejszy numer wysyłamy jeszcze wszystkim czytelnikom; następny — wstrzymamy tym, którzy mają największe zaległości, a z początkiem sierpnia wstrzymamy bezwzględnie wszystkie egzemplarze nieopłacone. Warunki finansowe zmuszają nas do wysyłania pisma tylko tym, którzy prenumeratę opłacają z góry.

Polscy tułacze.

III.

Historycy, którzy opisywać będą dzieje ostatnich lat przez nas przeżytych, niewątpliwie stwierdzić muszą dziwną odporność narodu polskiego, który tyle cierpień doznał w ciągu tej strasznej, wszechświatowej wojny. Nie dość, że toczyła się ona w znacznej części na naszych ziemiach, niszcząc i tratując wszystko po drodze, ale jeszcze państwa walczące: Niemcy i Rosja przerzucały bezlitośnie ludność naszą, czyniąc z niej tułaczów bezdomnych. Moskale pędzili przed sobą uciekające z Polski 2 i pół miljona ludu, od swych siedzib oderwanego, na ostatnią poniewierkę i nędzę. Prusacy zabierali robotników od roli i warsztatu, zmuszając ich do pracy na obczyźnie, dla potrzeb wojny, która, wygrana przez nich, w wieczystych niewolników nas zamienić miała.

Któż policzy, ile ofiar to nieludzkie postępowanie pochłonęło!

Jeden ze sprawozdawców pism amerykańskich, który towarzyszył odwrotowi rosyjskiemu w 1915 r., pisze: „Cóż za okropny widok przedstawiał trakt, wiodący z Warszawy do Pińska,

ciągnący się około 287 mil. Ciągnęły niekończące się sznury wozów, a na nich wygnańcy; ci, co się nie zmieścili, szli obok, wraz z bydłem i wszelakim dobytkiem; wielu z wycieńczenia padało po drodze. Wygnańcy szli dalej, porzucając trupy starców, kobiet i dzieci; było ich tak wiele, że cała droga została niemi zasłana".

Była to nowa Golgota ludu polskiego.

Niemniej smutny los był tych, co w obcych armjach, nieraz brat przeciwko bratu walczyć musieli. Przygnębienie w początkach wojny było tak wielkie, że wyznaczone mobilizacje udawały się w zupełności i jeden z młodych poetów legjonowych, Długosz, w ten sposób określił bierność ówczesną ludu polskiego:

„Gdy w sołdaty rozkazał iść car,
Myślał pewno, że już wygasł żar,
Że sen dawny nigdy się nie ziści:
Wszak gotowi stali rezerwiści".

Lecz inny poeta, Edward Słoński, uderza zaraz w ton nadziei:

„A my? o los nasz zbądź się troski,
Gdy nas dosięgnie krwawy cios,
To celnie strzela chłop krakowski,
Kiedy się Polski waży los".

I znalazła się waleczność i odwaga w stanowczej chwili. Tu jednak mówimy jeszcze o losach tych tułaczów, po Rosji rozproszonych, które przypomniał jeden z nich, wyżej wspomniany major Ossendowski. W roku 1917—18 zaroiły się więc śnieżne pola syberyjskie od Polaków. To byli ci, co wyrwali się z carskiej armji rosyjskiej, korzystając z rewolucji i nie chcieli iść w służbę bolszewicką. Liczne te szeregi wzięła w opiekę zwycięska koalicja, ale w ten sposób, że organizując je na nowo, oddawała żołnierzy polskich pod władzę tych dowódców, którzy walczyli z rewolucyjną Rosją. Więc znów składano na ofiarę nasz zapał, nasze bohaterstwo, w walce nierównej i nieszczęśliwej.

Rewolucja rosyjska przemieniła się wkrótce w bolszewizm, w którem objawiło się całe bezwzględne a dzikie okrucieństwo tego narodu. Wojska Kołczaka i piąta dywizja syberyjska polska, walcząca pod wodzą jenerała Czumy, zostały rozgromione na Syberji. I oto te wszystkie rozbitki wielkiej armji zaczęły przechodzić męki nieopisane. Jednak zauważyć należy, że ci, co przedtem biernie losowi swojemu poddawać się zdawali, wobec nadziei wyzwolenia okazali prawdziwe bohaterstwo i dotrzeć do ojczyzny z niesłychaną wytrwałością usiłowali.

Żołnierze polscy dążyli do kraju przez Kamczatkę, zapuszczali się w głąb Azji i tam szukali dróg powrotu. Innych losy poniosły aż do Japonji i ci stosunkowo jeszcze najszczęśliwiej trafili. Ludzki bowiem ten naród serdecznie się zainteresował losem polskich wygnańców, wielu z nich znalazło tam chwilowe wytchnienie, a dzieci tych, co na Syberji pomarli lub w drodze powrotnej poginęli, przygarnęła cesarzowa japońska, sprowadzając je i po paroletniej troskliwej opiece odsyłając następnie, już w ostatnich czasach, do Polski.

I tu znów przyszły jej z pomocą szlachetne dusze polskie naszym tułaczym losom do kraju wiecznego słońca i kwitnącej wiśni zagnane. Dr Jakubkiewicz i pani Bielkiewiczowa pomogli cesarzowej do porozumienia się z polskiemi dziećmi i do opieki nad niemi, a potem odesłali je do Polski.

Co tam jednak za dziwy jeszcze działy się w owej dalekiej Azji z naszemi wygnańcami! Otóż jeden z nich, szlachcic Czerniewski, ni mniej ni więcej tylko założył sobie w Mandżurji, w kraju, o który walczą ciągle ze sobą Rosjanie z Japończykami, udzielne księstwo, obwarował się w swoim domu jak w fortecy i bronił się tak jak niegdyś Wołodyjowski w Kamieńcu w Trylogji Sienkiewicza,—przed wojskiem bolszewickiem. Dwa lata mu się to udawało, w końcu widząc się otoczonym przez przeważające siły, wysadził swoją twierdzę w powietrze, ginąc pod jej gruzami.

Nie wiem, czy wszystkim moim młodym przyjaciołom jest wiadome, że słodka nauka Chrystusa nie dotarła dotąd na niezmierzone przestrzenie Azji i że wielomiljonowe tamtejsze państwa wyznają rozmaite religje mniej lub więcej do chrześcijaństwa

zbliżone. Dotyczy to głównie tych, co uznają jedno bóstwo, nazywając je Buddhą, jako siłę twórczą i wszechogarniającą całą naturę. Otóż w jednem z tych wielkich państw, w Mongolji mianowicie, z której wiodą ród te plemiona, co Rosję opanowały, urojono sobie, że ów Buddha może zstąpić na ziemię, wcielić się w człowieka i owo bóstwo przedstawiać. Co jakiś czas więc zostaje zwrócona szczególna uwaga kapłanów na takiego osobnika, który im się wydaje nosić znamiona nadziemskie, wybierają go za boga i, zamknąwszy w tajemniczej świątyni, cześć mu oddają. Otóż nasi polscy tułacze dotarli w Mongolji do takiego przybytku żywego Buddhy i, rzecz szczególna, zyskali sobie takie u ludności zaufanie, że zostali przypuszczeni do tego, którego zwykłym śmiertelnikom nie danem było oglądać. Co więcej, potrafili się przeciwstawić niektórym jego okrutnym zarządzeniom i wyjednać dla gnębionych despotyzmem władcy mieszkańców więcej swobody i wolności.

Pod ich wpływem zniesiono karę śmierci, w wielu przypadkach tortury i prześladowania. Świadczyłoby to, że w duszy polskiej złożone jest poczucie dobra i sprawiedliwości, może długoletnią niewolą zmącone, które jednak niewątpliwie nad gorszemi skłonnościami zapanuje, czyniąc z nas jeden z najbardziej wyrozumiałych i i uczciwych narodów świata.

Ów zdążający do kraju przez Azję oficer opowiadał jeszcze o takim strasznym fakcie. Oto gdy szczęśliwy, że wydarł się już wreszcie z objęć Rosji, gdzie okrutni bolszewicy wszystkie rzeki zapełnili wrzucanemi w nie trupami pomordowanych, znalazł się wśród wielkiej puszczy Urjachańskiej, zamieszkałej przez dzikich, sądził, że tu wreszcie znajdzie chwilę wytchnienia, że znikną mu wreszcie z przed oczu straszne obrazy bitew i mordów. Niestety, wtedy gdy zima okryła już ziemię śnieżnym całunem, gdy mróz ścisnął dokoła wszystko tak, że ludzie kryli się w zacisznych schronieniach, ujrzał naraz wśród nieprzebytych lasów obozowisko na pół zmarzniętych ludzi, głodnych i śmiertelnie wyczerpanych, kupiących się około ogniska. Było to 134 Polaków, zbiegów z rozproszonej dywizji syberyjskiej, którzy tu konali w zupełnem opuszczeniu, nie mając sił iść dalej, aby przedostać się w więcej cywilizowane kraje. Umarli wszyscy, zginąć bowiem musieli. „Byłem silniejszy, czy szczęśliwszy od moich rodaków z tajgi Urjachańskiej — opowiada p. Ossendowski — przeciąłem bowiem stepy Mongolji, przebrnąłem szlakiem, przez który tylko wielbłądy przedostać się mogą. Po drodze spotkałem kilku Polaków odważnych i dzielnych, niestety jednak, nie byli to ci, których ja i moi towarzysze znaleźliśmy w przededniu ich ponurego zgonu. Przyszli inni tą drogą męczenników. Niema chyba miejsca, gdzieby surowy los nie rozsiał kości naszych. Leżą one od wielkiej góry Ałtaju, aż do oceanu Lodowatego, od granic martwego kraju Gobi, aż do oceanu Spokojnego i wołają do swego narodu: Podnieś się, bądź potężny i mądry, a wtedy zgaśnie nienawiść pomiędzy ludźmi, zginie okrucieństwo i krzywda”.

Nasz podróżnik widział jeszcze na jednym z wysokich szczytów Azji Orła polskiego wyrzeźbionego na jednem z odwiecznych drzew szumiących na 11,000 stóp nad morzem. Czyżby to była zapowiedź, że nasz królewski ptak rozpostrze kiedyś swoje białe skrzydła szeroko, łagodząc ich szumnym powiewem rozognione namiętności ludzkie i wynikłe z nich walki, rozterki i waśnie.

J. W. Kosmowska.

Listy z Danji.

6. Hamburg.

Poprzez pola uprawne, łąki, większe i mniejsze lasy, mijając czasem wrzosiska, mimo osad i kościołów— z niemiecka kirche—zawsze jednakowo budowanych i czerwonych, a' jedną śpiczastą wieżą zakończonych, pociąg pędzi ku Hamburgowi. Im więcej zbliża się ku temu miastu, tem czę-

ściej staje, stacje muszą być co parę kilometrów. Przy stacjach bliskich miasta—letniska. Wille piętrowe o białych ścianach, z zielonemi okiennicami. Już to ten kolor zielony wraz z czerwonym Niemcy upodobali sobie. Sterczą często jaskrawo czerwone domy z mocno zielonemi okiennicami, co stanowczo razi wzrok mój, człowieka nieobeznanego z gustem Niemiec. Letniska te ciągną się nieprzerwanie, oczywiście z racji pięknego miejsca i krajobrazu. Rzeczywiście miejscowość jest śliczna. Rzeczka płynie jarem głębokim. Pagórki zieleniejące murawą, ubrane w drzewa i krzewy, rozkwitające jabłonie i czereśnie stanowią tło dla okazałych zabudowań.

Lecz oto i Hamburg wykwitł z zakrętu. Przyglądam się grupie domków, regularnie, jakby z kart ustawionych, i o dziwo—mam przed sobą jeden z widoków starych miast. Domki małe, wąskie, zgrabne, wszystkie podobne do siebie, o ostro zakończonych dachach; gdzieniegdzie wystrzela śpiczasta wieżyczka. Oto jest ono miasto stare, tak często na obrazkach oglądane,—czyż sądziłem, że kiedyś zobaczę je w naturze?

Pociąg nie podziela mego zaciekawienia, pędzi sobie dalej już przez miasto. Mijamy domy duże o licznych oknach i balkonach; a w każdem oknie i na każdym balkonie barwne pierzyny, porozkładane widocznie dla ozdoby, ponadto ponawieszano rozmaitych części bielizny, również prawdopodobnie dla rozmaitości.

Na stacji głównej schodzę i udaję się na miasto w celu poczynienia zakupów, oraz przyjrzenia się mu choć pobieżnie.

Hamburg—miasto olbrzymie i bardzo stare, musi mieć wiele niesłychanie ciekawych rzeczy, cóż, kiedy nie mam czasu, ani przewodnika.

Na przyglądanie się miastu mogłem poświęcić niecałą godzinę; szedłem na chybił trafił, oglądając się, by nie zbłądzić. To też nie widziałem nerwu życia miasta — przystani okrętów, jakoż i rodzicielki jego, rzeki Elby.

Hamburg od czasów najdawniejszych był portem morskim, czem pozostał i do dziś. Fale Elby unoszą olbrzymy morskie ładowne towarami i ludźmi. Tu gromady ludu polskiego żegnały już ląd w wyprawie za chlebem do Brazylji lub innych części Ameryki. Mus życia pomiatał ludem na wsze strony świata.

Oto na co mój wzrok miał patrzeć i śladów czego szukać. Jak wielu z mych rodaków, okręty widywałem tylko na obrazku. Nie udało mi się jednak i teraz widzieć tego, co Hamburg zrodziło, wychowało i zbogacało—nie widziałem okrętu morskiego. Przyglądałem się licznym domom zrośniętym z granitem brzegów kanału, jakby z wody wyrastającym. Niejeden z nich zadumany wysoko wznosi swe czoło osiwiałe, powagą wieków znaczone.

Hamburg dzisiejszy, z rzutu oka, nie jest miastem pięknem; domy bardzo jednostajne, bardzo podobne do siebie. Mimo wszystko, takby się chciało błądzić po starych ulicach miasta tego i przyglądać się wszystkiemu, na czem śniedź wieków leży.

Niema rady, trzecia bije, trzeba powracać na stację; mijam jeszcze zasępione domy handlu zamorskiego z Azją i Afryką. Przechodzę ulice przepełnione wozami i samochodami ciężarowemi. Ruch wielki, mimo wszystko, wbiegam na stację i do wagonu 4 klasy.

7. Przez kanał Kiloński.

Jak w Hamburgu, tak i w dalszym ciągu podróży miałem uprzejmych sąsiadów, którzy zawsze mi wskazali, gdzie przesiadać, na którą stronę wyjść i jak trafić na odpowiedni pociąg. Sprawność ruchu kolejowego i rozkładu jazdy jest w Niemczech bardzo doskonała, przy przesiadaniu przechodzi się wprost z pociągu do pociągu i po paru minutach dalsza jazda.

Cały czas jazdy t. j. od samego Berlina spędziłem w 4 klasie. Dziwiłem się, że w wagonie przewożą tyle rzeczy. W Niemczech wprost wory z sobą podróżni wciągają. Jeszcze

przed Hamburgiem widziałem, jak wnoszono do wagonu 2 olbrzymie kosze jaj, to samo z rozmaitemi ciężarami całą drogę.

W ciągu długiej jazdy mnóstwo osób przesunęło się przed oczyma memi, przyczem doszedłem do przekonania, że w Niemczech, choć piszczą pod ciężarem rezultatów wojny, jednak bieda na ulicę jeszcze nie wyłazi. Wszyscy ubrani czysto, i wygląd mają czysty, i humor im służy. W drodze z Berlina na jednej ze stacji wpakowało się do wagonu 20-tu chłopców, stowarzyszonych futbolistów. Potrafili oni chórem zaśpiewać, a byli to robotnicy z jednej fabryki. Przyjrzałem się też i wykorzystaniu czasu, oto jakaś panna haftowała najspokojniej podczas biegu pociągu.

Krajobraz za Hamburgiem przypomniał mi poniekąd drogę z Warszawy do Kalisza. Równinka uprawna, ziemia z natury średnia, miejscami trafiają się wrzosiska na piaskach lub osuszonych torfowiskach. Widziałem pokłady torfu tak osuszone, że torf brano już jakby ze składu, odcinając regularnemi pasami płaty torfu grube na 1½ łokcia. Wszystkie miedze mają na sobie wał ułożony z kamieni, osypany piaskiem i zarosły darnią. Na takim wale rosną krzaki co pewien czas wycinane. Krzakami obsazdone są i drogi, drzew dużych daleko mniej, niż przed Hamburgiem.

Domy wiejskie są niejednolite. Starsze domy często są ładne; ściany mają białe, a strzechy szare, słomiane. Lecz takowe wdzięczą się zrzadka między przeważającemi domami o czerwonych a płaskich dachach.

Gdy już szarzało, a na widnokręgu wywłóczyły się sine mroki, pociąg pędził wysokim brzegiem rzeki, nad którą wznosił się most żelazny. Była to budowa z żelaza, a poprzez siniącą się dal most zdawał się tkaniną pajęczą, zawieszoną nad przepaścią. Pociąg mocno zwolnił w biegu, wszedł na most i potoczył się tą szaloną wyżyną. Wspaniały widok z mostu zachwycał. Dale niknęły w mroku. Majaczyły kontury dymiących się kominów osady fabrycznej i ginęły w ciemni domki gęstych osiedli, znaczonych ognikami okien; na dnie smuga wody ubrana w girlandę lamp znaczących oba brzegi,obok rzeki zarysy jakiegoś toru kolejowego. Pociąg mija most i idzie sobie po tym niesłychanym wiadukcie, ponad nizinnym brzegiem. Po pewnym czasie spostrzegłem, że jedziemy nad brzegiem rzeki, a nad nami tenże sam wiadukt. Więc nie pojechaliśmy do nieba, ani nie zapadliśmy się pod ziemię, tylko uczyniliśmy olbrzymi zakręt, biegnąc po pochyłości i zniżyliśmy się do poziomu brzegu rzeki, po którym linja drogi ma się ciągnąć dalej. Za chwilę byliśmy na stacji. Czytam—Rendsburg, a więc był to kanał Kiloński.

Dość późnym wieczorem przybyliśmy do miasta Flensborg. Dalej do st. granicznej, odległej o kilkanaście kilometrów, pociąg szedł rano o g. 5. Trzeba nocować w Flensborgu. Jeszcze w Neu Munchen zaprzyjaźniłem się z młodym Niemcem, panem Olafem. Jechał on do Flensborgu jako rzemieślnik murarz, szukając pracy; człowiek bardzo miły i uczynny; zupełnie bezinteresownie zaopiekował się mną. Zostawiwszy rzeczy a przechowaniu, poszliśmy do miasta szukać noclegu. Jedna piwiarnia, znana p. Olafowi, była otwartą, lecz dostaliśmy tam tylko po bombie piwa, a noclegu odmówiono. Wyszliśmy, a p. Olaf mocno ścisnął pięść, grożąc w stronę drzwi piwiarni, lecz to nie pomogło. Było już po 10, więc w tym czasie Niemcy śpią. Próżno przeszliśmy całe miasto i p. O. udawał się po radę do policjanta, musieliśmy wrócić na stację, gdzie nam pozwolono przedrzemać do rana.

Zegar wskazywał piątą, gdy pożegnałem się serdecznie z przyjacielem i podziękowałem mu, jak umiałem najlepiej po niemiecku, siadłem do pociągu i pełen dziwnych uczuć, żegnałem kraj czynnego, rozumnego narodu niemieckiego, linja rozwoju którego załamała się i pękła jak struna przeciągnięta. Dziwne, że ten naród nie potrafi utrzymać równowagi, co jakiś przeciąg czasu uniesie go nadmierna pewność, nadmierna prężność ciągnąca do władania światem.

W Danji, 23.V 1923 r. *Wacław Pieslak.*

POGADANKI PRZYRODNICZE.

Metale ciężkie.

Rozejrzyj się po izbie, po podwórzu, a zobaczysz wiele przedmiotów ciężkich, przeważnie twardych, przeznaczonych do różnych robót gospodarskich.

Oto pług, obręcze na kołach u wozu, łańcuchy, nóż do chleba, siekiera, gwoździe, niektóre naczynia kuchenne, nawet drobne igły—wszystko to różne co do wielkości, formy i przeznaczenia, a jednakowe co do jakości. Bo wszystkie te przedmioty wykonano z żelaza albo stali, która również jest zmienionem żelazem.

Za szybą szafy z naczyniami połyskują się srebrzyście misy, łyżki, kubki i inne naczynia cynowe i cynkowe. A i blacha na dachu zabudowań też jest pokryta cynkiem lub cyną.

Obok tych przedmiotów widać inne połyskujące, czerwonawe—to wyroby miedziane.

Rzadko kiedy w tak zacnej i dobranej kompanji znajdą się szaro połyskujące, ciemne, nawet stosunkowo miękkie, a bardzo ciężkie przedmioty z ołowiu.

Wszystkie te przedmioty zrobione są z metali, których nie brak w Polsce, nawet jest ich tyle, że wystarczy na nasze potrzeby. Metale te znajdują się w różnych miejscach Polski, ale nie w czystej swej postaci, tylko jako rudy, zawierające większą lub mniejszą ich ilość. Zapytasz, co to są owe rudy. A więc, są to kamienie, części ziemi, zawierające dany metal w większej lub mniejszej ilości, albo zmieszany tylko z różnemi domieszkami, albo z niemi chemicznie połączony. W pierwszym wypadku znacznie łatwiej jest oddzielić czysty metal od domieszek, w drugim zaś nieraz bardzo trudno.

Przyjrzyjmy się teraz poszczególnym metalom, zbadajmy w jakiej postaci, ilości i gdzie się znajdują, w jaki sposób otrzymuje się czysty metal z rudy i co z jego można zrobić.

Najczęściej spotykamy rudy, w których żelazo połączone jest z gazem—tlenem; są one barwy żółtej—brunatnej, czarnej, zawierają od 40—60% czystego żelaza. Rudy, zawierające w połączeniu także i węgiel, są barwy szarej. Najlepsze są rudy stalowo - szare i ciemno - czerwone, są to także połączenia żelaza z tlenem, a zawierają czystego metalu do 70%. Najczęściej spotykane, a najmniej zawierające żelaza—to rudy powstałe na mokrych łąkach i bagniskach.

W Polsce rudy żelazne występują w wielu miejscach, od nich wzięło swą nazwę wiele miejscowości, zwanych Rudami. Najbogatsze i najlepsze rudy spotykamy w górach Świętokrzyskich i na Śląsku. Tam też powstały największe kopalnie i fabryki żelaza. Chociaż mamy żelaza tyle, że gdyby wykopywano go 10 razy tyle, co w roku 1911, to starczyłoby na lat 200, jednak sprowadzają żelazo do polskich fabryk w znacznych ilościach z zagranicy.

Rudy żelazne wykopane z ziemi odsyłają do fabryk, zwanych hutami żelaznemi. Tam przetapiają je w wielkich piecach, używając węgla lub koksu. W czasie ogrzewania czyste żelazo zostaje uwolnione od swych domieszek i zbiera się na dnie pieca, jako płynna masa, którą za pomocą rur wylewają do gotowych form, gdzie krzepnie w twarde bloki lub sztaby, zwane surowcem.

Surowiec ten nie jest zupełnie czysty i zanim użyją go do wyrobu różnych przedmiotów, podlega ponownej przeróbce i zależnie od niej będzie kruchy lub elastyczny. W czasie tej przeróbki jest on ponownie przetapiany, mieszany z różnemi ciałami i przekuwany za pomocą wielkich parowych młotów.

Największe huty żelazne znajdują się w Ostrowcu, Dąbrowie Górniczej, Zawierciu, Częstochowie, na Górnym Śląsku.

Fabryk, wyrabiających przedmioty żelazne, jest bardzo wiele. Taką jest już drobna kuźnia, warsztat ślusarski, które znajdziesz niemal w każdej okolicy, są także w Polsce wielkie

fabryki, w których pracują tysiące robotników.

Bardzo ważnym i coraz więcej używanym metalem jest cynk. Rudy cynkowe znajdują się w niewielu miejscach na ziemi, a Polska jest tak szczęśliwa, że ma ich nawet dość dużo. Najbogatsze pokłady znajdują się na Górnym Śląsku. Znajdują się także w Kieleckiem koło Olkusza, w górach Świętokrzyskich i na Podkarpaciu. Rudy cynkowe bywają białe lub czerwone, nazywają się galmanem lub blendą cynkową. Składają się z połączeń cynku, tlenu, węgla, krzemu, żelaza, siarki. Jak widzisz, cynk lubi liczne towarzystwo. Co do ilości dobywanego w Polsce cynku, to zajmuje ona drugie miejsce na świecie zaraz po Stanach Zjednoczonych w Ameryce. Czysty cynk wytapiają w hutach, z których największe i najlepsze znajdziesz na Górnym Śląsku. Czysty cynk przerabiają na drobne przedmioty codziennego użytku, wykonane z blachy czystej cynkowej, lub żelaznej pokrytej cynkiem. Prócz tego cynku używa się w znacznych ilościach w fabrykach elektrycznych do części maszyn, służących do wytwarzania elektryczności.

Cynk jest barwy szarej, dość twardy, składa się z drobnych kryształków, co łatwo można zauważyć, patrząc na świeżo złamaną powierzchnię. Na powietrzu zmienia się i pokrywa powierzchnię przedmiotu cienka powłoka szarej rdzy, która jest twardą i chroni przedmiot od dalszego szkodliwego działania powietrza. Dlatego też używa się cynku do pokrywania blachy żelaznej, aby zabezpieczyć ją od rdzewienia.

Bardzo podobnym metalem i często używanym do tych samych celów co cynk, jest cyna. Metal ten spotyka się jeszcze rzadziej na kuli ziemskiej. Cyna jest barwy srebrzysto-białej; jest miękką, można ją krajać nożem, łatwo giąć, przekuwać, walcować na cieniutkie arkusze i blaszki, a topi się nawet w płomieniu świecy. W czystą blachę cynową zawinięta jest tabliczka czekolady, dawniej używano jej do wyrobu naczyń, dziś zabawek, pokrywa się nią blachę żelazną, aby ją uchronić od psucia. Blacha cynowa jest biała, srebrzysta, połyskująca w odróżnieniu od cynkowanej. Wreszcie czystej cyny albo pomieszanej z ołowiem używa się w wielkich ilościach w blacharstwie do lutowania, czyli silnego spawania ze sobą poszczególnych kawałków blachy. Cyny używa się także do pobielania naczyń miedzianych. Ze względu na to, że spotyka się ją rzadko, należy do metali droższych.

Z kolei wypada nam omówić miedź. Nie możemy powiedzieć, aby ten ładny, bardzo pożyteczny i używany do wielu rozmaitych wyrobów metal znajdował się u nas w wielkiej obfitości, raczej odwrotnie, mamy go za mało i tylko w nielicznych miejscowościach. Najbogatsze pokłady znajdują się w pobliżu Kielc, gdzieniegdzie w Tatrach. Miedź spotykamy w postaci zupełnie czystej, to znów w postaci rud miedzianych (miedź w połączeniu z tlenem, siarką, węglem). Niekiedy tworzy bardzo ładne i ozdobne kamienie zielonawe—malachity, dające się łatwo szlifować.

Miedź jest barwy czerwonawej, daje się łatwo przekuwać, jest miękką, dość łatwo topliwą, daje się łatwo wyciągać w postaci drutu. Jest ona znaną ludziom od bardzo dawnych czasów, znacznie wcześniej od żelaza. Wyrobów z miedzi używano już w czasach starożytnych nawet w postaci broni. Dziś używa się jej najczęściej do wyrobu naczyń, kotłów, części maszyn, przewodników elektrycznych i t. p.

Miedź stopiona z cynkiem daje sztuczny metal barwy żółtawej, używany często do wyrobu drobnych przedmiotów codziennego użytku i w zdobnictwie.

Miedź z cyną daje bronz — metal znacznie droższy od mosiądzu, barwy czerwonawo-żółtej, używany przeważnie do wyrobów ozdobnych. Bardzo dawno przed poznaniem żelaza służył do wyrobu broni.

Wreszcie ów szary, miękki, łatwo kowalny, topliwy, a bardzo ciężki

ołów. Spotyka się u nas w postaci rudy o barwie szarej lub czarnej z metalicznym połyskiem. Ruda ta składa się z połączenia ołowiu z siarką. Ruda ołowiana lubi towarzystwo, to też znajduje się zwykle obok rud żelaza i cynku. Największe pokłady znajdziesz na Górnym Śląsku, w okolicach Olkusza, w górach Świętokrzyskich, najmniej w Karpatach i Tatrach. Ruda ołowiana w Polsce zawiera bardzo dużo ołowiu, bo 70 proc.

Ołowiu używa się do wyrobu drobnych nielicznych przedmiotów, bardzo wiele idzie na wyrób kul do broni palnej i śrutu.

Tyle o metalach ciężkich, mających tak rozmaite zastosowanie w naszem życiu codziennem. Nie są to wszystkie i nie wszystko o nich powiedziałem, a jeżeli pragniesz dokładniejszych wiadomości, to postaraj się o książki specjalnie mówiące o nich.

Stanisław Gibess.

ST. ANDRZEJ RADEK.

KOZA.

Po sprzedaniu wieprzka, kiedy to Marcin pieniądze przepił i dla pocieszenia się wszystkie garnki w domu wytłukł,—przyszła kolej na kozę. Nie odrazu, bo najpierw wyrzucono Marcina z roboty, a potem w sklepiku odmówiono kredytu. Powiadają, że gdzie się dwóch poczubi, tam trzeci korzysta,—ale często bywa i odwrotnie.

Sklepikarka była zdecydowaną antysemitką, a Szlojma Boms zawsze z miłością popatrywał na kozę Marcinów i cmokał ustami:

— Śliczne bidlątko — mówił—tylko uno nie we właściwe ręce popadło.

I od czasu do czasu posyłał swoją Ryfkę do Marcinów po kwaterkę koziego „mlika".

— Co, żydowi kozie mleko sprzedajecie i chcecie, abym na kredyt chleb dała! Niema — oświadczyła kategorycznie sklepikarka.

A Szlojma tak:

— Jak wy mieli pieniądze, to wy u tej głupiej sklepikarki brali — a jak bez pienędzy—to do mnie. „Tera" nie takie czasy. Sprzedajcie kozę.

Ale dawał tyle, że Marcinowa trzasła drzwiami i wyszła. Na drugi dzień wzięła trzewiki w garść, chustkę na ramiona i poszła naprzód. Za nią zaś, popłakując i pobekując, poprowadzili się Józek z kozą.

Marcinowa szła żwawo — nie tyle z potrzeby—ile z irytacji i żalu, który, jak pies, kąsał serce i przywodził smutne myśli do głowy.

— A kto winien? Wódka! Tych podleców pijaków należałoby siedem razy na dzień tłuc, a na noc do chlewików zamykać, albo inne gorsze kary wymyśleć.

— Boże mój Boże,—biadała dalej.— Sprzedam kozę i co? Drugiej nie kupię, prosiaka też. Jakżeż się dorobimy? Wieczna bieda i nędza, parszywe dziadostwo, że lepiej nie żyć!...

Z tyłu dobiegało ją wciąż żałosne zawodzenie Józka i nie mniej żałośliwe pobekiwanie kozy.

— Czego ryczyta, jak za pogrzebem!—krzyknęła.

— Ale—odparł Józek, któremu cała ta parada wydała się o wiele tragiczniejszą od pogrzebu.

— Jak nie mamy beczeć, kiedy idziemy na jarmark...

Beee!—wtórowała koza.

— Żeby wam języki powykręcało. Ruszajcie naprzód!

— A my nie chcemy — zbuntował się Józek.—Ohoo! Bece!

Leciał dwugłos po rosie daleko, daleko i dzwonił echem nieuchwytnej, smutnej doli.—Gdy Józek płakał, wydało się mu, że cały świat beczy objęty trwogą nieznaną, że cały świat gdzieś na jarmark prowadzą i jeszcze większa zdejmowała go żałość. Co rusz, to obejmował kozę za szyję i płakał żarliwie.

Na szczęście rosła rzepa przy drodze. Wyrwał Józek kilka, aby mieć i na zapas — i powlekli się dalej, gorzką rzepą osładzając sobie z kozą smutek i cierpienie.

— Bodaj piekło pochłonęło tych, co wódkę robią—przeklinała Marcino-

wa. Raz się tylko ten podlec upił i oto topiel nędzy zalewa nas wszystkich.

Dobrze już pod południe—zmęczeni i głodni — stanęli na placu, gdzie odbywał się jarmark.

Dojrzał ich pierwszy Szlojma Boms. Dołożył 40 groszy do wczorajszej ceny, postawił na straży żydziaka, który innych żydów ostrzegał, aby kozy nie kupowali i sam poszedł.

Za chwilę przyszła sklepikarka.

— Co, sprzedajecie kozę?

— Sprzedaję.

— Jeżeli sprzedacie Bomsowi, to żeby mi się żadne w sklepie nie pokazywało. Przyjdzie tu jeden katolik, to on kupi.

Przyszedł katolik, ale dawał o połowę mniejszą cenę od Bomsa.

Pozatem do samego wieczora pies z kulawą nogą o cenę kozy się nie spytał.

Ruszyli tedy we trójkę z powrotem do domu, aliści zastąpił im drogę sąsiad pijany i dlatego właśnie wielce życzliwy.

Opowiedziała mu Marcinowa swoje strapienia i gorzkie żale.

Sąsiad słuchając — chwiał się, jak wierzba pod wichru naporem i wytrzeszczał oczy na kozę, ile sił starczyło. Nagle zadarł głowę do góry i rzekł rezolutnie:

— Wola boska. Raz kozie śmierć pisana. Chodźcie na wódkę!

— A gdzieżbym ja tam, a niech Bóg broni—odmawiała Marcinowa.

Ale z pijackim uporem trudno poradzić. Weszli do karczmy. Wypili „po jednym", „poprawili"—dali Józkowi. Poczem uradzili, że nie pójdą piechotą, jeno pojadą koleją.

— Kozy waszej nie kupię—mówił sąsiad—bo nie jestem żyd, ale mam chrześcijańskie serce i kupię wam bilet kolejowy. Po co macie „teli" świat piechotą drogę mierzyć.

— A koza?

— Pójdzie i koza. Nic wam nie mogę dopomóc, ale stać mię jeszcze na kupienie dla kozy biletu — unosił się sąsiad.

— Gdzież wy się tu pchacie z kozą?—ciskał się jakiś jegomość.—To wagon osobowy!

— A koza to co?—zdziwił się sąsiad.—Lepsza osoba od pana. Bezgrzeszna.

— Mówię wam, kobieto, zabierzcie stąd kozę!

— Gdzież ją zabiorę? Do kieszeni panu wsadzę.

Jakiś obdartus kopnął najpierw kozę, bo mu na kamasz nadeptała, a potem rzekł flegmatycznie do jegomościa.

— Nie żołądkuj się pan. Siedziałeś może nieraz w kozie, a „tera" obok nie chcesz?

Z całego wagonu schodzili się pasażerowie i z wielkiem zainteresowaniem oglądali kozę, jakby jakie osobliwe zamorskie zwierzę.

Jakiś wyblakły młodzieniec w meloniku na głowie — przyjrzawszy się uważnie, zawołał na cały wagon niezmiernie oburzony:

— Widzieliście państwo, koza!

— Jak Boga kocham, koza!

Obywatelowi, który siedział po drugiej stronie ławki i za innymi nie pobiegł kozy oglądać, wydało się, że chcą go oszukać, wmawiając weń rzecz nieprawdopodobną. Zerwał się więc jak oparzony i huknął do młodzieńca:

— Łżesz pan, bo to kozioł!

— No, co pan na to?—pytał kategorycznie, miotając wściekłe spojrzenia.

Młodzieniec z kredowego zrobił się ceglasty.

— Ko-kozioł?—wyjąkał niepewnym głosem.

— Tak, panie, kozioł!

Głos obywatela nieco złagodniał.

— A... przepraszam, czy to pański koziołek?

— Mój!

Nagle młodzieniec nabrał odwagi i rzekł:

— Chociaż panie, jeżeli to kozioł, to niech djabli porwą.

Obywatel zrobił się jeszcze czerwieńszy, a tymczasem wiele osób, na wszelki wypadek, zasięgało u Marcinowej informacyj osobiście.

— Czy to zwierzątko, to kozioł, czy koza?

— Koza—odpowiadała Marcinowa.
— Więc pan twierdzisz, że to koza — pytał obywatel zagadkowym tonem.
— Ja nie twierdzę, ja na podstawie obserwacji...
Wtem wszedł konduktor, i ujrzawszy kozę—zaczerwienił się jak indor.
— A to co?—spytał.
— Kozioł!—ryknął obywatel.
— Nieprawda, koza, panie konduktorze—wtrącił młodzieniec.
Zrobiło się piekło i w rezultacie wyrzucono z wagonu kozę i Józka. Gdy pociąg ruszył, Józek wszedł do wagonu i usiadł przy matce.
— A gdzie koza?
— Przywiązałem ją do buforu z tyłu wagonu i poleci po „szpałach".
Marcinowa wytrzeźwiała. W pierwszej chwili chciała porwać chłopaka i zbić, ale poniechała tego i rzuciła się do drzwi. Zatrzymał ją dość energicznie i stanowczo młody jakiś chłopiec.
— Już teraz za późno. Trzeba być trzeźwym w złej, czy dobrej chwili.
Usiadła, bo i tak opuszczały ją siły.
— I to stracone, i to przepadło. Nigdy już się nie dorobimy—szeptała zbielałemi wargami.
A młody chłopiec, wskazując mądremi oczami na uśpioną pijacką zasmarkaną twarz sąsiada, mówił do swego kolegi:
— Patrz, to jest drugi skutek picia wódki. Tracą zdrowie, ostatni majątek i w dodatku, jak spojrzysz, to zamiast współczuć, musisz się brzydzić takiem paskudztwem.
— No dobrze, ale co to ma wspólnego ze sklepem spółdzielczym, o którym my pierwej mówili?
— A to, że będziemy sami towary z fabryk sprowadzali i między siebie dzielili. Nie będą nam ludzie z byle czem włóczyli się po jarmarkach, nie będzie tyle okazji do pijaństwa; nie będzie nam potrzebny ani Żyd, ani sklepikarz katolik — obaj złodzieje, jednakowo lud kradnący.
Przez s p ó ł d z i e l n i e—będziemy zbywali i nabywali towary. A zyski pójdą na dobro ogólne.
Zbudujemy szkoły, domy ludowe, bibljoteki, za zyski sprowadzimy drzewek owocowych, damy pomoc biednym ludziom...
Pociąg stanął. Marcinowa wysiadła i pobiegła na tył wagonu.
U buforu na sznurku wisiał tylko skrwawiony łeb kozy.
Rozpłakała się Marcinowa i tak tym łbem kozim chciała Józka wygrzmocić, ale przyszło jej na myśl powiedzenie nieznajomego chłopca: „W złej, czy dobrej chwili trzeba być trzeźwym".
Srodze bolała ją ciężka strata, gryzła troska o jutro, a wśród tych wszystkich myśli bolesnych—przewijały się wciąż słowa zasłyszane.
— Boże, mój Boże—myślała—żebyż to ludzie zechcieli robić, o czem ten chłopiec mówił.
Ustatkowaliby pijaków i biednym ludziom pomogli radą i pracą.

Tak tylko młodzi potrafią!

(Wspomnienia z wycieczki).

Było już dobrze ciemno, kiedy powracaliśmy z Janowca, położonego po drugiej stronie Wisły obok Kazimierza. Byliśmy zmęczeni jak nigdy, trzymilowa podróż piesza z Nałęczowa, którą odbyliśmy tego dnia, całodzienne zwiedzanie Kazimierza i jego okolic zrobiły swoje. Powracając teraz, byliśmy podobni raczej do bezładnej kupy rozbitków niż do ludzi, którzy z własnej woli dla przyjemności więcej może niż dla korzyści wyruszyli na wycieczkę. Korzystano z każdej sposobności, by choć na chwilę siadać czy kłaść się dla odpoczynku, w czasie którego szczególniej koleżanki ubolewały nad swemi poodparzanemi w niezbyt wygodnych bucikach nóżkami. Najgorętszem pragnieniem ogromnej większości, jeżeli nie wszystkich uczestników wycieczki, było dostać się wreszcie do jakiejś stodółki, w której możnaby oddać się upragnionemu odpoczynkowi. Po drodze robiono kierownikowi wycieczki dość głośno zarzuty, że doprowadził do tak ogólnego zmęczenia.

Przed wejściem w ulicę wiodącą do rynku zatrzymaliśmy się na chwilę, dy zebrać się w gromadkę i by, idąc przez miasto, zachować choćby pozory organizacji młodzieży. Ciężka to była sprawa, trzeba było odwoływać się do ambicji uczestników, poruszyć wiele strun duchowych, by móc uszykować kolumnę czwórkową. Jeszcze trudniej było zdobyć się na śpiew, bez którego organizacja młodzieży wygląda jak... pies bez ogona (według określenia jednego z kolegów uczestników). Uszykowani tak i ze śpiewem, który w pierwszej chwili miał w sobie więcej płaczliwego zawodzenia niż młodzieńczej radości, ruszyliśmy w stronę rynku. I w miarę, jak wchodziliśmy w miasto, sytuacja się poprawiała: równano krok, śpiew zyskiwał na sile i czystości. Sposób naszego pokazania się w mieście zwrócił powszechną uwagę. Kiedy znaleźliśmy się na rynku, przystąpiło do nas parę młodziutkich i sympatycznych w krakowskich kostjumach koleżanek, zapraszając nas na zabawę miejscowego Koła Młodzieży.

Wiadomość, iż jesteśmy proszeni na zabawę, wprowadziła w nasze szeregi pewne ożywienie. Wyrazy: zabawa, muzyka, tańce w świadomości młodzieży wiejskiej nie należą do pozbawionych bogatej treści i mają na nią jakiś magiczny wpływ. Nic więc dziwnego, że zaproszenie poruszyło nas wszystkich, niektórzy poczuli się już mniej zmęczonymi.

Większość nie mogła się jeszcze wyzbyć pewnej, zrozumiałej zresztą po całodziennych trudach, ociężałości. Zapraszający, których co chwila przybywało, byli nieustępliwi, to też opór z naszej strony pomału malał. Wreszcie nadszedł moment najskuteczniej działający na nas: oto w tej chwili muzyka urżnęła siarczystego obertasa. I kto zna wpływ muzyki, a zwłaszcza tych naszych ognistych oberków na młodzież wiejską, która według pieśni ludowej, leżąc na grobowej desce, na odgłos muzyki jeszcze gotowa podskoczyć, ten łatwo się domyśli rezultatu naszych wahań. Rozumie się, wszyscy znaleźliśmy się na sali, zapominając całkowicie o zmęczeniu.

Wśród tańcujących par dał się zobaczyć i kierownik wycieczki, który najdłużej się opierał, chcąc „trzymać fason”. Zapominając teraz zupełnie o „fasonie” i powadze, z jedną z owych zapraszających krakowianek, sympatyczną koleżanką Irenką, wybijał hołubce aż miło.

Ktoś przyglądający się z ubocza nigdyby nie powiedział, że te tańczące rozbawione pary to są ci „upadający ze znużenia” przed paru chwilami —uczestnicy wycieczki.

Tak tylko młodzi potrafią!

Uczestnik.

Z KÓŁ I ZWIĄZKÓW

Z Koła w Górze Bałdrzychowskiej.

W pięknem położeniu, wśród pól i łąk nad rzeką leży wieś nasza. Dostatecznie zadrzewiona, z wiosną przybiera niezwykle piękny widok. To też wsi takich mało się spotyka w okolicy. Pod względem wyrobienia społecznego również dobrze się przedstawia. Przyczynia się do tego przykład innych, a przedewszystkiem szkoła, która od dawnych czasów we wsi istnieje. Analfabetów paru się tylko znajdzie i to z ludzi „napływowych”. Prąd organizacyjny objął wieś naszą jeszcze w 1906 roku. Powstała wtenczas Straż Ogniowa i Kółko Rolnicze, które jednak z czasem podupadły. Ale wśród młodzieży dążność do organizacji trwała, to też jeszcze za Niemców poczęliśmy organizować Koło Młodzieży, lecz żandarmi przysłali rozkaz zaprzestania pracy i zebrań. Dopiero od grudnia 1918 roku, wolni już, zaczęliśmy szerszą pracę. Powstała zaraz i Straż Ogniowa z inicjatywy Koła.

Młodzież w okolicy można podzielić na 3 grupy: pierwsza—to tak zwana „chłopska arystokracja”, która naśladuje zwyczaje staroszlacheckie, z biedniejszymi nie chce mieć wiele do czynienia.

Druga grupa, pośrednia, okazuje się więcej czynną, świadomą, niezarozumiałą i dążącą do wyższych celów przez organizację, pracę nad sobą i uświadomienie pod względem społecznym. Trzecia bierna, uparta, „dzika”, najmniej daje pociechy organizacji. W takim mniej więcej ogóle młodzieży pracuje i nasze Koło. Chociaż małą gromadką, bo 20 osób liczącą, zwycięsko walczymy z przeszkodami i postępujemy naprzód. Z nowym rokiem postanowiliśmy rozszerzyć czytelnictwo gazet, sprowadzamy

więc 3 egz. „Siewu” prócz pism, które członkowie postanowili prenumerować za własne pieniądze. Skompletowaliśmy też bibljoteczkę, która w czasie słabej działalności Koła „rozleciała się”. Mamy znowu 100 książek i dzięki staraniom bibljotekarza, kol. J. Wilmańskiego oraz M. Szewczyka, mamy nadzieję, że wkrótce więcej i lepszych książek zdobędziemy. W dniu 28 I b. r. i 11. II. urządziliśmy przedstawienie. Dane były sztuki: „Kominiarz i młynarz” i „29 listopad 1830 r.”. W próbach są: „Zagłoba Swatem” i „Jeden z nas musi się ożenić”. Przedstawienia jednak korzyści materjalnej nam nie przynoszą z powodu małego zainteresowania ze strony ogółu.

Zebrania nasze zaczynają się ożywiać. Na każde jeden z kolegów ma przygotować odpowiednią pogadankę czy referat. Na początek opracował kol. przew. pogadankę pod tytułem: „Cele i zadania organizacji”.

Na jednem z zebrań postanowiliśmy wyrugować wódkę z naszych zabaw, przedstawień i t. p. urządzamy także zabawy wzorowe, a dochód z nich zamiast na wódkę, jak inni, przeznaczamy na prenumeratę pism i t. p. Powoli zdobywamy uznanie ogółu i postanawiamy dopiąć celu pod tym względem, nie zważając na żadne trudy.

Hej bracia, koledzy! W pogoni do słońca
Precz zrzućmy ciemnoty obroże.
W świat pracy i czynów idźmy bez końca
Z zapałem, a nic nas nie zmoże!
Precz zrzućmy lenistwo i bierność wiekową
Niech każdy się stanie człowiekiem,
Lecz silnym i czynem, i duchem, i głową,
I zdolnym, by w przyszłość iść z wiekiem.
Nie rzucać swej pracy i haseł w pół drogi,
Gdy ogrom jest przeszkód wokoło!
Kamienie usunąć, co ranią nam nogi,
Ku celom pójść śmiało, wesoło!
Do czynu, do czynu! Zawinąć rękawy,
Bić młotem w trud życia co siły,
A przyjdzie i dla nas czas lepszy — Dzień Nowy
I wzniesiem, co wieki zburzyły.

Wincenty Gortat—przewodniczący.

Z działalności Koła w Spiczynie.

Koło nasze, istniejące już od roku, na drodze swojej działalności robi coraz większe postępy i spodziewamy się, że w przyszłości z tej pracy odniesiemy niemałe korzyści.

W pierwszych początkach ubiegłego kwartału staraliśmy się załatwić wszelkie formalności i zlecenia C. Z. M. W., gdyż prędkie załatwianie poleceń wyższych władz nadaje sprężystość naszej tak rozległej organizacji. Pozatem Koło nasze przystąpiło do dawnej pracy, ale o ramach już nieco węższych.

Na zebraniach, odbywających się co sobota, jeden z członków wypowiadał referat z dziedziny historji, geografji lub przyrody, który uprzednio przygotował w domu. Początkowo szło to opornie i nieśmiało, potem członkowie rozruszali się i jednemi z pierwszych prelegentów byli kol.: Z. Cyganówna, J. Szalast, M. Włodarczykówna i H. Chodun.

Referaty odbyły się przy wielkim spokoju i ciszy, pozostawiając po sobie chęć dalszej współpracy tą drogą. Prócz zdobyczy oświatowych zebranie takie jest miłą rozrywką, gdyż pod koniec zebrania urządzamy jakąś zabawę, pełną szczerego humoru, lub śpiewy, po których członkowie rozchodzą się do domów.

Następnie musimy stwierdzić, że poczytność książek i gazet wzrosła tak między młodzieżą, jak i starszymi. Prócz tego w naszej wiosce zorganizowała się ochotnicza Straż Ogniowa, w której biorą udział przeważnie członkowie Koła i chętnie przykładają się do pracy nad wyszkoleniem się w tym kierunku. Straż nasza na szczególniejszą zasługuje uwagę, gdyż ma za zadanie bronić od wypadków ogniowych nietylko naszą wieś, lecz całą okolicę, ponieważ w promieniu 10 kilometrów niema żadnej innej straży.

Aczkolwiek Koło spiczyńskie jest jednem z najlepszych w naszej gminie, jednak z bólem serca musimy wyznać, że i u nas, nawet pomiędzy członkami, nie brak takich, którzy stawiają nam przeszkody.

Spodziewamy się, że wcześniej czy później przewidzą i uznają swój błąd.

Ale gdyby było tyle tylko złego, to jeszcze fraszki. Gorszą jednak bolączką naszej wioski jest pijaństwo, które rozprzestrzenia się do niemożliwych granic. Do tego życia pijackiego, wciąga się i część młodzieży, ogłupiając swój umysł. Bezpośrednimi sprawcami tego pijaństwa są wioskowi sklepikarze, tak żydzi jak i chrześcijanie, którzy, nie mając pozwolenia na sprzedaż wódki, całemi masami zwożą ją z miast i poją ciemną masę, zdzierając z niej skórę. My, zorganizowani w Kole którzy dążymy do lepszego życia, postanowiliśmy wypowiedzieć temu walkę. Jeżeli słowa nie pomogą, to postaramy się załatwić tę sprawę na drodze prawnej i nie pozwolimy na to, aby zło, które sieje tyle zniszczenia, rozprzestrzeniało się dalej w naszej wiosce.

Przewodniczący: St. Włodarczyk.

Z Koła we Franciszkowie i Jesionce.

Koło nasze już od kilku miesięcy prawie że nieczynne, jakby drzemało, a winę tę przypisać można tylko Zarządowi, który do tego stopnia się zaniedbał i brak energji naszemu prezesowi, który nie był zdolnym zwołać Zarządu, ażeby się do czegoś zabrać. I trwało tak całą zimę.

Dopiero z wiosną zaczęło jakby ze snu powstawać i zabrano się do czynu.

Zawdzięczać to można tylko dawniejszym członkom, którzy wrócili z wojska, dołożyli swych starań a także i drużynie harcerskiej. W dniu 15 kwietnia odegrano dwie sztuki: „Bzik mojej żony” i „Bolszewicy pod Warszawą”.

Przedstawienie to miało powodzenie, bo dopisała pogoda, a przeto finanse nasze znacznie się powiększyły, bo zebrano za bilety 114 tysięcy marek. Pieniądze te dotychczas nie mają przeznaczonego celu. Przewodniczący naszego Koła, widząc, że praca w Kole źle idzie, w końcu zdobył się na to, ażeby w dniu 22 kwietnia zwołać ogólne zebranie w celu obrania nowego zarządu i przewodniczącego.

Jest projekt, który ja również popieram, ażeby obrać przewodniczącego, a ten według swego uznania dobiera sobie członków zarządu. I w ten sposób przewodniczący na przyszłość nie będzie mógł kłaść winy na członków zarządu, że ogół wybrał nieodpowiednich, z którymi on nie może pracować, jak to się dotychczas najczęściej zdarzało. (Ten projekt sprzeciwia się naszemu Regulaminowi, więc jest nieodpowiedni. Trzeba innemi środkami starać się poruszyć pracę w Kole. Przypisek Redakcji).

Mam nadzieję, że nowy zarząd naszego Koła przystąpi do szerszej pracy.

Wasz kolega, Bartek Słowik.

Z Koła Młodzieży w Obidzy.

W miesiącu kwietniu z okazji rocznicy założenia Koła Młodzieży urządziliśmy walne zgromadzenie naszych członków. Wiele trudów w dokonaniu tego zebrania poniósł kol. przewodniczący, Sz. Talik. Zaprosiliśmy przy tej okazji naszych rodziców oraz młodzież z sąsiednich wiosek, gdzie niema jeszcze organizacji, w tej myśli, aby się zapoznali z dokonanemi pracami naszego Koła i planami na przyszłość i by zmienili swój nieprzychylny stosunek do nas. I nie zawiedliśmy się. Gdy kol. P. Kuczera wygłosił przemówienie p. t.: „Czego nas uczy miniony rok pracy i czego może dokonać młodzież zorganizowana?”, w którem wykazał szlachetne wysiłki młodzieży do podniesienia oświaty, ogólne wzmożenie czytelnictwa we wsi, prace kulturalne, ostatnio założenie Kółka Rolniczego i w. in.—to wzruszył tem starszych do głębi.

Przełamaliśmy ostatnie lody i trzeba [wam, było widzieć, koledzy i koleżanki, to serdeczne poznanie się i zbratanie dwóch pokoleń, niejako dwóch obozów dotąd przeciwnych w jednej wsi. A już do radości i łez doprowadziło nas, gdy staruszek latami, a młodzieniec duchem, patrjarcha naszej wsi, p. K. Kozłowski, zwrócił się z serdecznemi słowami uznania i zachęty, tłumacząc uprzednią nieprzychylność tem, iż młodzież nie dała im się niejako poznać na polu pracy.

Obecnie wyczuł on, starzec, w nas lechicką krew i ducha nieskażonego, o czem śniła dotąd jego dusza i widzi z za przyćmionego horyzontu jaśniejsze jutro przez nas. W imieniu gromady przyrzeka moralną i materjalną pomoc. I jak niegdyś za rycerskiej Polski gromko o sufit się obiło: „Kochajmy się!”

Po odśpiewaniu „Roty” Konopnickiej rozeszliśmy się do domów, przysięgając sobie w duszy wytrwanie na tej drodze dla dobra ogółu i Polski. Pamiętny był to dzień w życiu naszego Koła, kiedy dzięki wytrwałej i szlachetnej pracy odnieśliśmy pierwsze i wielkie zwycięstwo.

Jan Kuczera—bibljotekarz.

Z Koła w Nowych Mokranach.

W dniu 7 kwietnia urządziliśmy dzień sadzenia drzewek, w którym brali udział: członkowie Koła Mł. i dzieci szkolne. Dzień był bardzo uroczysty. Ksiądz proboszcz odprawił mszę świętą i zabraliśmy się do pracy. Po wszystkiem zrobiliśmy 2 zdjęcia fotograficzne, które wkrótce wyszlemy do Redakcji dla umieszczenia w ilustracjach „Siewu”, ażeby młodzież nasza miała pamiątkę i budziła się do tej pracy.

Odczuwamy potrzebę Domu Ludowego, w którym możnaby było urządzać zebrania, odczyty, pogadanki i t. p. Szkoła mieści się w wynajętym lokalu, który jest zupełnie ciasny, tak że żadnych przedstawień ani większych przedsięwzięć tam robić nie możemy. Przedstawienia urządzamy w domu parafjalnym, jednak zarząd kościelny robi nieraz trudności pomimo tego, że zbudowaliśmy tam scenę i ławki własnym kosztem.

Po sumie w Zielone świątki odegraliśmy dwie sztuki amatorskie, jednoaktówki, p. t.: Ś. p. Jan Szmerlecki” i „Brzytwa swatem”.

Powodzenie mieliśmy niewielkie. Pomimo tego my się tem bardzo nie zrażamy, chociaż nieraz po odegraniu takiej sztuki trzeba dołożyć z kółkowej kasy, ale gramy dla własnego wyrobienia. Tegoż samego dnia przyjechała do Malowej Góry naszej parafji sekcja teatralna z parafji Terespolskiej. Grali sztukę p. t.: „Radcy pana Radcy”. Po wszystkiem urządziliśmy wspólną zabawę taneczną. Dzielę się z Wami, koledzy i koleżanki, naszemi wiadomościami, abyśmy, pracując w Kołach Młodzieży, mogli usuwać wszelkie złe zapatrywania i śmiało iść naprzód.

Przewodniczący: *Józef Wakulewicz.*

Nowe Koło w Bukowcu-Nowym.

Zbudziła się i nasza młodzież z uśpienia i ciemności. Bo oto na wiosnę dnia 4 marca b. r. założyliśmy Koło Młodzieży. Z początku zapisało sie 42 członków i wszyscy szczerze i z wielkim zapałem wzięli się do pracy. Pomimo przeszkód na jakie natrafia zwykle każde Koło w początkach swoich, przetrwaliśmy do dziś dnia i mam nadzieję, że dalsza praca będzie łatwiejsza.

Prenumerujemy sobie i czytamy „Siew” oraz gazetę dla Kółek Rolniczych. Składki

na organizację wpłaciliśmy po 2000 mk. Nie mamy jeszcze bibljoteki, ale usilnie pracujemy, by zdobyć tę podstawę dla kształcenia się przez czytanie. Obecnie pracujemy nad zorganizowaniem teatru ludowego.

Z mego listu widać jak wyglądają początki naszej wspólnej pracy. Ci koledzy, u których są pozakładane nowe Koła, wiedzą, jaka jest ciężka praca w początkach. Tembardziej nie tracimy nadziej, lecz idziemy naprzód, zapatrzeni w wielkie cele i drogi, któremi możemy wybrnąć z ciemnoty i uśpienia. Życzę powodzenia wszystkim kolegom i koleżankom. Cześć!

B. Sygitowicz—przewodniczący.

Z wioski Właderno.

Koledzy i Koleżanki! Nie myślcie, że nasza wioska Właderno, która jak paciorki różańca rozciągnęła się przez naszą ukochaną ziemię-rodzicielkę w Piotrkowskiem, śpi jak tyle jeszcze wiosek polskich. O nie! Mogę z dumą powiedzieć, że nasza wioska tętni życiem, a dowodem tego jest to, że istnieje tutaj Koło Młodzieży, składające się z 30 członków.

Choć Koło nasze niedawno istnieje, bo pierwsze zebranie organizacyjne zostało zwołane w dniu 1 stycznia b. r. przez obecnego przewodniczącego, kol. B. Biernackiego, słuchacza Sem. Naucz. w Tomaszowie, to jednak, nie chwaląc się—wieleśmy zrobili. Oto prawie co niedziela zbieraliśmy się na zebrania, na których koledzy Biernacki i Reszke mówili nam o tem, jak kształtowało się w pierwszych wiekach swego istnienia państwo polskie, o tem, jak wzniosłe cele powinniśmy sobie stawiać w życiu, jak walczyli nasi dziadowie o wolność, o prawdach, które odkrył nasz wielki odak, Mikołaj Kopernik, i o tem, jak mocno umiłował Ojczyznę nasz wódz i naczelnik duchowy, Józef Piłsudski. I o wielu, wielu innych rzeczach pięknych i wzniosłych rozmawialiśmy na naszych zebraniach. A radowało się serce mówiącego, kiedy widział w siebie utkwionych kilkanaście par oczu, gorejących miłością i wielkim entuzjazmem. Drogie są to chwile w życiu, kiedy się widzi, że ziarna oświaty rzucane w serca kiełkują i pięknie rosną, a w przyszłości wydadzą obfity plon.

Ale wróćmy do rzeczy. Nie poprzestawaliśmy na tem, co mówili nam nasi koledzy, wyżej wymienieni, na zebraniach, lecz wypożyczyliśmy z bibljoteki Straży ogniowej w Nagórzycach kilkanaście książek (bo jeszcze nas nie stać było na kupienie własnych) i wszyscy w wolnych chwilach czytaliśmy je, by wyrabiać sobie swój własny pogląd na życie.

Jeszcze nie koniec na tem. Oto zorganizowaliśmy przy kole sekcję teatralną pod kierunkiem kol. Reszkiego i po kilku próbach urządziliśmy w Domu Ludowym w Nagórzycach: „Wielką zabawę kwietniową", na program której złożyło się przedstawienie sztuczki: „Zrękowiny u Druzgały" i deklamacja chóralna z tańcami. Wszystko udało się doskonale tak, że powtórzyliśmy jeszcze raz w naszej wiosce.

Tym właśnie występem publicznym daliśmy poznać się ludziom, którzy z pewnem lekceważeniem wyrażają się o nas, a takich zawsze nie brak. Zobaczyli oni, że my, choć młodzi, wiele możemy zrobić i zrobimy, bo pamiętamy o tem, że „myśmy przyszłością Narodu"!

Stanisław Reszke—wice-przewodniczący.

Ś. p. Marjan Niedbalski.

Zmarł 16 kwietnia r. b., mając lat 24.

„A jeśli komu droga otwarta do nieba,
To tym, co służą Ojczyznie"

Jako uczeń szkoły rolniczej w Sobieszynie brał ś. p. M. Niedbalski udział czynny w pracach niepodległościwych, będąc członkiem P. O. W.

Przerywa naukę i opuszcza szkołę, gdy nadeszła chwila walki z Niemcami w listopadzie 1918 r. Po rozbrojeniu okupantów i ukończeniu szkoły podoficerskiej w Warszawie wyrusza jako kapral 6 pułku piechoty Legjonów polskich na front wschodni. Niejednokrotnie samodzielnie dowodzi plutonem na tyłach bolszewickich. Był wzorem żołnierza w odwadze, obowiązkowości i wytrwałości. Trudy wojenne znosił aż do zawarcia pokoju z bolszewikami.

Powróciwszy wreszcie po kilkuletniej wojaczce do rodzinnej wioski, Drążgowa w pow. Garwolińskim, staje do pracy społeczno-oświatowej, jako przewodniczący Koła Młodzieży Wiejskiej i naczelnik Straży Ogniowej. Zyskuje u wszystkich poważanie i uznanie. Lecz oto skrada się choroba, która go powala w pełni sił i młodzieńczego rozmachu. Nie pomagają zabiegi lekarzy i operacja. Po siedmiu miesiącach strasznych cierpień, ś. p. Marjan Niedbalski oddał Bogu ducha o wiosennym świcie przy śpiewie ptasząt i świergocie skowronka.

Na pogrzeb przybyły z okolic 4 Straże ogniowe, 2 orkiestry, Szkoła rolnicza z Sobieszyna i tłumy pobożnych. Koledzy-strażacy wynieśli trumnę i umieścili na umajonym karawanie specjalnie zbudowanym na sikawce i beczce strażackiej.

Były to rozrzewniające wspomnienia i szarpiące za serce obrazy z chwil przeżytych razem i z czasów walk o Wolność i Niepodległość, gdy armja młoda, półnaga, głodna, bosa i licho uzbrojona, dokonywała cudów waleczności. Mało który wrócił do domu, a i tych śmierć nielitościwa wyrywa z grona kochających.

Nad trumną najtrwalsi nie wstrzymali łez. Chór młodzieży naprzemian z orkiestrą wykonał marsza żałobnego. W końcu padło: „Baczność!": Znieruchomiały szeregi strażackie, pochylił się sztandar, zasalutowały straże — gdy trumnę wnoszono do grobu. I dopiero gdy ostatnia cegła zakryła w grobie drogie szczątki, orszak żałobny zaczął powoli opuszczać wiejski cmentarz.

„Spji kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie"

Przy pożegnalnej zbiórce straży na rozstajnych drogach krótkiemi przemówieniami pokrzepiono serca, a przy dźwiękach marsza: „Jeszcze Polska nie zginęła" — ślubowano nad świeżą mogiłą ś. p. kolegi Marjana jeszcze silniej zacieśniać węzły organizacyjne prac społeczno—oświatowych.

Niech mu ziemia, o której Wolność walczył, lekką będzie!

DLA ROZRYWKI i UCIECHY

Rozwiązanie zadań z № 18-go „Siewu".

Łamigłówka trójkątna.

1) K r a k ó w
2) M a r e k
3) I g ł a
4) C ł o
5) I ż
6) C

Łamigłówka kwadratowa.

```
R a d o m
o       a
m       j
a       o
n       r
Maj.
```

Zadanie.

Pierwszy pastuszek miał 7, a drugi— 5 owiec.

Nagrody wylosowane.

Dobrych rozwiązań wszystkich zadań nadesłano 100. Nagrody w postaci książek przysłanych przez kol. Kacprzaka Franciszka—w y l o s o w a l i:

1) Kol. *St. Czyżewski* z Łomaz pierwszą książkę p. t.: „Z dziejów pułku" St. Ostrowskiego; 2) kol. *I. Błoński* z Czarnowa drugą książkę p. t.: „Na własnym zagonie", Bron. Włodkówny; 3) kol. *T. Mazurek*, czł. Koła w Sętkach, wylosował komedję Molier'a p. t.: „Skąpiec" w 5 aktach.

Nowe zadania do rozwiązania.

S z a r a d y:

(Ułożone przez Stacha z pod Wygiełzowa).

I. Pierwsze—rzeka polska będzie.
Drugie trzecie—jest rozkazem,
A czytając w jednym rzędzie,
Nazwę miasta da nam razem.

II. Pierwsze, trzecie—drzewa znane,
Przez nas wszystkich szanowane,
Skorupiaki—drugie trzecie,
Jakie?—sami to powiecie.
Wszystko zaś roślina słodka,
Każdy ja na polu spotka.

Zadanie do rozwiązania.

(Podała Z. Włodarczykówna, bibljotekarka Koła w Spiczynie).

Jechał pan przez błonie, konno, a dziewczyna pasła stado gęsi. Pan się zatrzymał koło gęsiareczki i rzecze do niej te słowa: „Dziewczyno, musi ty masz ze 100 gęsi". A ona odrzekła: „Gdyby było drugie tyle, pół tyle, ćwierć tyle i pan z niemi, to dopiero byłoby 100". Ile dziewczyna miała gęsi?

Zagadki ludowe.

1. Przędzie, przędzie długą nić,
A na wrzecionie nie ma nic.
2. Chodzi po lesie
A nie „smyrze" się.
3. Nie rodził się, a ochrzczony,
Nic nie zawinił, a powieszony.
4. Gdy mnie niema, to mnie żądają,
A gdy jestem, przedemną uciekają.

N a g r o d y.

Za dobre rozwiązanie powyższych szarad, zadania i zagadek ludowych Redakcja wyznacza jako nagrody: 1) świeżo wydaną przez Centr. Związek Młodzieży Wiejskiej książkę p. t.: „W y c i e c z k i K r a j o z n a w c z e", napisaną przez Aleksandra Janowskiego, 2) książkę: „Ballady i Romanse" — A. Mickiewicza, nadesłaną przez Stacha z Łomar, oraz 3) serję kart—widokówek Artura Grottgera z cyklu: „W o j n a" w wykonaniu artystycznem. Nagrody będą wyznaczone przez losowanie. Termin nadsyłania rozwiązań *do 31 lipca* b. r.

CENA OGŁOSZEŃ: po tekście—1 str. 450.000 mk., 1|2 str. 250.000, 1|4 str. 140.000, 1|8 str. 75.000 mk.; ogłoszenia w tekście o 25 procent drożej.

Redaktor: Jan Dec. **Wydawnictwo: Centr. Związku Kółek Rolniczych.**

Tłocznia Instytutu Głuchoniem. i Ociemn. w Warszawie, plac Trzech Krzyży Nr 4-6.